



Przeczytałam na jednym oddechu, to piękna rzecz!

prof. Joanna Papuzińska

Mała Ryfka jest bystra, niepokorna, mocna. Petra Wapno, kucharka i opiekunka Ryfki, ledwo może za nią nadążyć. Ale przystaje na wszystkie szalone pomysły dziewczynki, bo kocha ją jak własne dziecko.

Kiedy wybucha wojna, wyprowadza małą z getta. Zaczynają niebezpieczną wędrówkę, przygarniając po drodze małą cygańską dziewczynkę Zorę.

Odyseja pełna mrozących krew w żyłach zdarzeń i cudownych zbiegów okoliczności. Kończy się niezwykle – na granicy polsko-białoruskiej, przy zielonej lampie, wywieszanej o zmroku. Kogo przyjmie dorosła już Zora, jakie odysejki uratuje?

Dorota Combrzyńska-Nogala

Łodzianka, polonistka, surdopedagog, autorka książek dla dorosłych, młodzieży i dzieci. Jej książki zdobyły liczne nagrody i wyróżnienia, m.in.: Literacką Nagrodę im. Władysława Reymonta, nagrodę Książka Przyjazna Dziecku, nagrodę im. Kornela Makuszyńskiego i Książka Roku IBBY.

Ryfka nie miała jeszcze sześciu lat, kiedy nauczyła się czytać z kalendarza* kucharki swoich rodziców, Petroneli Wapno, nazywanej zdrobniale Petrą. To właśnie ta prosta kobieta, a nie wiecznie zajęci rodzice, nauczyła ją liter polskiego alfabetu, choć sama ledwie dukała.

– Co to za znak? – pytała, stojąc na krześle, Ryfka.

Kobieta odkładała nóż i podchodziła do dziewczynki. Marszczyła czoło i po namyśle odpowiadała z nabożnym szacunkiem do słowa pisanego:

– To A.

– Jak arbuz?

– Jak arbuz, auszpik**, Ala...

– Akademia, As, Adam, Archangielsk – dopowiadała Ryfka.

– Co to jest Archangielsk? – pytała z kolei kucharka, bo czuła, że musi być jakaś równowaga między nią a dzieckiem, w dodatku naprawdę nie miała pojęcia, co to jest Archangielsk.

Pytaniom nie było końca.

– Prawdziwy z ciebie młotek, Ryfka. Łup, łup w moją obolałą głowę – wzdychała często zmęczona pracą i ko-

* Kalendarz – tutaj: kalendarz z poradami i przepisami kulinarnymi.

** Auszpik – mięsna galaretką.

niecznością nieustannego skupienia uwagi na dziecku pracodawców.

– Prawdziwy ze mnie młotek! – zaśmiewała się dziewczynka. – Jestem Ryfka Młotek i prawdziwy ze mnie młotek. Ha, ha, ha!

– Ha, ha, ha! – śmiała się Petronela Wapno.

I tak Ryfka Młotek wiedziała coraz więcej i więcej i nie wiadomo właściwie skąd, bo na pewno nie z tego kalendarza, z którego wiedzę wchłonęła już w kwietniu. Ale i tak oprócz Petry nikt na to nie zwracał uwagi, bo matka Ryfki, pobożna Ruchla Młotek, z domu Szampan, dawno, dawno temu urodziła pięć swoich córek, z których każda również miała po pięć córek. I nagle po latach, będąc wielokrotną babcią, zaczęła gwałtownie tyć, a potem okazało się, że przytrafiła jej się Ryfka Młotek.

– Coś ty narobiła? – zafrasował się stary mąż Ruchli, Mosze, pochylając się nad świeżo urodzoną córką.

– Ja?! – wrzasnęła wymęczona porodem żona.

– No dobrze, już dobrze... – powiedział pojednawczo. – I cośmy najlepszego zrobili?

– Bóg nam pobłogosławił! – napomniała go Ruchla.

– Dlaczego On nie może mi błogosławić w interesach? – Mosze Młotek wzniósł oczy do sufitu.

– Co prawda, to prawda – wymknęło się kobiecie. – Boże, wybac!

– Może zbyt gorliwie chwalimy Go w sypialni po sobotnich nabożeństwach? – zastanowił się mąż.

– Jak można zbyt gorliwie chwalić Jego imię? – zdumiała się Ruchła, ale musiała mu przyznać rację. – No może i prawda, ale przykazane jest, żeby mąż z żoną obcowali... Już zapomniałam, jak być matką – chlipnęła. – Nie mam siły na kolejną córkę.

– Nie możemy jej reklamować! – zachichotał Moze. – Panie Boże, jak już musiałeś nam błogosławić dzieckiem pod koniec życia, to czy to przynajmniej nie mógłby być chłopiec?

– Może to coś znaczy? – zastanowiła się Ruchła. – Może jest w tym jakiś Boży zamysł?

– Jak w *Biblii*! Cóż, pożyjemy, zobaczymy! – westchnął filozoficznie.

Mimo niezbyt gorącego przyjęcia Ryfka Młotek rozwijała się nadzwyczaj zdrowo, domagając się uwagi głośnym krzykiem lub osobistym urokiem, a dosyć szybko odkryła, że ten drugi działa dużo lepiej. Najpewniej czuła się w kuchni pod troskliwym okiem Petry, która – od kiedy coraz częściej pozostawiano dziecko pod jej opieką – zażyczyła sobie, żeby powyginane nogi wielkiego stołu pomalowano na czerwono.

– Dlaczego akurat na czerwono? – spytała mama Ryfki, ale kucharka tylko wzruszyła ramionami, bo

przecież każdy wiedział, że czerwony chroni przed nieszczęściem.

Zawiesiła kosz na linkach zamocowanych pod blatem. Kiedy mała zakwiliła, szturchała kolanem kołyskę i mogła dalej zajmować się siekaniem, tarciami, krojeniem i zagniataniem, jak to w kuchni.

Gdy dziecko podrosło, postawiono większy kosz pod stołem. To było ulubione miejsce Ryfki. Starzy rodzice trochę się wstydzili swojego najmłodszego dziecka, trochę nie mieli dla niego czasu, a trochę już im się po prostu nie chciało, bo odwykli od niańczenia pociech, dlatego najmłodszą Młotkową wychowywała kucharka.

Petronela niczego jej nie zabraniała, a w kuchni działo się o wiele więcej niż w pozostałych częściach dużego mieszkania w kamienicy. Razem z Młotkami mieszkali tu różni ludzie, mówiący w wielu językach.

Gdyby Ryfka była chłopcem, z pewnością w stosownym czasie zaczęłaby uczyć się do jesziwy*, żeby nauczyć się czytać i studiować święte księgi. Ale nie była i sama musiała zadbać o swoją edukację. Ojciec całymi dniami ukrywał się w swoim gabinecie, a potem wyjeżdżał w interesach. Matka bardzo mu pomagała, prowadząc księgi rachunkowe i sprzedając jedwabne

* Jesziwa – szkoła żydowska.

krawaty, kolorowe chusty i szale z kaszmiru w sklepiku dwie ulice dalej. Wtedy w domu królowała Petronela Wapno.

– Szkoda, że nie mamy innego kalendarza – żałowała znudzona Ryfka, która przeczytała już cały kalendarz i nauczyła się wszystkich polskich liter.

– Pożycz sobie książkę od taty – poradziła jej kucharka.

– Nie rozumiem ich, są inne, nie mają liter, tylko jakieś znaczki.

– Są w jidysz – wytłumaczyła kucharka.

– Wiem przecież! – obruszyła się Ryfka. – Nie jestem głupia, tylko mi się nudzi.

Nie mogąc znieść jej marudzenia, Petronela Wapno pewnego wyjątkowo deszczowego dnia pożyczyła kalendarz w jidysz od służącej z parteru.

– Tylko niech nie zniszczy! – ostrzegła ją koleżanka.

– Nie, ona jest uważna. A czy Ryfka może tu do ciebie czasem przylecieć z pytaniem?

– Może, ale po południu, tylko wtedy mam wolną chwilę.

I tak Ryfka Młotek czytała w jidysz i mogła korzystać z książek papy, chociaż większość i tak była po hebrajsku, dlatego czytała głównie codzienne gazety, ale niespecjalnie ją interesowały, więc znowu zaczęła się nudzić, bo lubiła się uczyć.

– Nie ma jakichś innych kalendarzy w naszym domu? – spytała pewnego dnia Petrę, kiedy wracały z zakupów przez długie podwórko, żeby dotrzeć do klatki schodowej dla służby.

Kucharka zadarła głowę. Patrzyła na błękitny prostokąt nieba nad nimi, wyznaczony przez cztery wysokie oficyny, i w skupieniu lustrowała wszystkie okna.

– Na drugim w oficynie mieszka drukarz z żoną Matyldą. Są Niemcami. Na pewno mają kalendarz. Pójdzie ci łatwo, bo niemiecki jest podobny do waszego. Na ucho jest podobny, ale w pisaniu to całkiem inny.

Ryfka z radości zaczęła podskakiwać:

– Petra! Kochana moja, zrób to, proszę! Poproś ich! Pani Matylda Rausch zrobiła niezadowoloną minę.

– Jak ja sobie poradzę bez kalendarza? Mam tu wszystko zapisane. Kiedy pranie, kiedy przychodzi zdun do pieca, kiedy krawcowa, kiedy będą święta. No i mam tu również wiele bardzo pożytecznych rad. O, na przykład jak wywabić plamy po czerwonym winie. Albo mogę skorzystać z przepisu na doskonały gulasz wieprzowy, gęś nadziewaną...

Ciągnęłaby tak pewnie jeszcze z godzinę, wymieniając zalety swojego niemieckiego kalendarza, gdyby nie jej mąż Werner Rausch, który ze stołowego słyszał jej gromki głos.

– Ależ Matyldo! Nie musisz dawać temu dziecku bieżącego kalendarza. Daj jej jakiś stary. Na przykład z ubiegłego roku. A ja pożyczę wam książkę z bajkami braci Grimm – jedyną z mojej biblioteki nadającą się dla dzieci... No... – zastanowił się. – Powiedzmy, że dla dzieci, ale to jedyna, więc... – rozłożył swoje krótkie ręce.

– Jest pan bardzo dobrym człowiekiem – z wdzięcznością podziękowała Petra.

– Mój mąż to zawsze coś wymyśli! – pokiwała głową dumna pani Rauschowa.

I tak Ryfka siedziała przy stole kuchennym między garem parujących ziemniaków a miską ryb na *gefilte fisz** i sumiennie dukała, zachwycając się każdym nowym słowem. Petra wielkim nożem kroїła drobno cebulę i marchewkę.

– *Schmëtterling! Schmëtterling**!* – powtarzała dziewczynka w uniesieniu, a potem zsunęła się z krzesła i zatańczyła dookoła stołu. – Wiesz, co to jest? – spytała z ustami pełnymi rodzynek i migdałów.

– Nie mam pojęcia, ale brzmi groźnie. Może to smok?

* *Gefilte fisz* – faszerowana ryba.

** *Schmëtterling* (niem.) – motyl.

– Smok? Ha, ha, ha! – zaśmiewała się mała. – Groźnie! Ha, ha, ha... Petra, ty to jesteś! To motyl! *Babele!* *Babele!* *Schmëtterling!* – wykrzykiwała podekscytowana dziewczynka.

– Nie wyjadaj, bo zabraknie.

– *Rozhinkes mit Mandeln***, śpij, syneczku mój... – zanuciła dziewczynka.

– Co tu się wyprawia? – spytał tata Młotek, który właśnie wrócił z podróży.

– *Tateszi!* – rzuciła mu się na szyję córka. – Zobacz, co mam. Kalendarz niemiecki od sąsiadów. I jeszcze bajki, ale Petra nie pozwala mi czytać w kuchni, bo pobrudzę. Uczę się, ale nie wiem, jak to czytać. Musisz mi pomóc w nauce.

– Ja... Uczyć? – zająknął się. – Ja nie mam czasu!

– Tylko mi powiedz, jak to się czyta! Musisz! – Ryfka Młotek umiała postawić na swoim.

– Może mama? – próbował się jeszcze ratować Mosze.

– Mama jest zajęta. Siedzi przecież w sklepie i sprzedaje krawaty.

– No tak. To chodź.

I tak krok po kroku najmłodsza latorośl państwa Młotków uczyła się czytać i mówić po niemiecku, a ku-

* *Babele!* (jid.) – motyl.

** *Rozhinkes mit Mandeln* – rodzyнки i migdały.

charka Petra miała trochę spokoju. Na konwersacje dziewczynka zbiegała na podwórko, gdzie znajdowała chętnych do pogawędki sąsiadów. Po polsku oprócz Petroneli rozmawiała z dozorcą Jędrzejem Piłą o tym, jak ciężko jest odśnieżać podwórko i ulicę, ale jeszcze gorzej jest przy odwilży, bo nie wiadomo, co z tym czarnym błotem robić.

– Może sprzedać? – radziła mu, kiedy przystanął, żeby odpocząć od zamiatania.

– Błoto? – spojrzał na nią spod krzaczastych brwi.

– *Tateszi* mówi, że jak się człowiek postara, to wszystko sprzeda – pouczyła go.

– Jak taki mądry, to niech je sprzeda – zirytował się mężczyzna. – Powiedz mu, że dam mu procent – zachichotał. – Dobry procent od błota!

– Dobrze. Wiosną – obiecała. – Wiosną coś się wymyśli.

– Obiecujesz?

– Tak. Przyrzekła jestem.

– Przyrzekła? Przyrzekła – dozorca smakował przez chwilę nowe słowo. – Chyba słowna?

– Bardzo jestem słowna. Znam mnóstwo słów – pochwaliła się.

– Przyrzekasz, czyli dajesz słowo, że coś zrobisz.

– Rozumiem.